

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 20 października 1946 r.

Nr 41 (69)

Teodor Goździkiewicz

W ROZCHYLACH ORKANOWEGO PODGRONIA

Słońce rozjaśnia stoki garbów pocięte prostokątami górskich polettek. Odległe lasy u samych groni kółtują się fioletowym cieniem dali. Cisza leży na ukołysanych pogodą rozchylach gór — ostry pokrzyk pasterza tnie masyw spokoju tym bardziej przykro. Głos wychyla się nie wiadomo skąd i ginie bez odbicia.



Władysław Orkan

Muzyka tysiącdźwiękowa rozśpiewanych świerszczy zdaje się być dzwoniem ciszy w uszach. Nie zamyka drogi innym wrażeniom. Rozgrzana upałem lipcowego dnia pachnie macierzanka porastająca każdy zuchel niezdeptanego przydroża, każdy załom pastwiskowego wzgórze. Granatowe łuki wypiętych szczytów matowieją na tle szafiru nieba, mgłą się i siedzą wokół jak olbrzymie nieruchome czapy.

Gorce — Orkanowe Gorce.

Od Rabki wąskimi pasemkami ścieżyn idą grupki ludzi z koszami od jagód. Szare, bez wyrazu twarze. Rzadko migną się cyfrowane wypelzłym czerwonym haftem i oksydowane brudem białe spodnie góralskie. Ludzie idą śpiesznie. Ciągnie ich dom, jak rano ciągnęło ich miasto. Idą do Poręby, do Koninki, i — hań do odległego Lubomierza.

Wędrówka po górach działa jak odurzający środek. Obojętne się czynią jednakowo — tak wojna hiszpańska jak i zatarg japońsko-chiński. Człowiek popada w doskonale zobojętnienie. Najważniejsze, aby było co zjeść i można znaleźć dach z czterema ścianami na nocleg we właściwym czasie.

Ciągnie, jak ciekawa książka, zagadka — pytanie — tajemnica: co się też otworzy za chwilę, jakież widok tam z tej góry? co się kryje za świat tam za tym kosmatym czubem?

Czy będzie rudo-zielone pastwisko z centkami czerwonych krów, czy też ludzie układać będą stożki siana na szkielet rozczapierzonego rogala? Czy może leży splechę smaragdowego boru z lysinami bielejących pniaków?

Droga z Rabki przez Olszówkę do Poręby Wielkiej po grupie Tatr czy Pienin, nie jest ciekawa. Na wypukłych, łagodnych wzgórzach widnieje kratka pół uprawnych. W lewo widać dalekie, samotne i rzadkie szczyty Beskidu Wyspowego. Gorce jeszcze dla stopy nie-

ostępne. Wsie ukryte są po głębokich bródach i widne tylko na mapie.

Im więc oczy mają większą przestrzeń i swobodę do hasania po rozległych okolicach, tym wzrastają bardziej dolegliwości cielesne. Plecak z całym ciężarem niemiłosiernie. Pięką nogi wzbogacone w dodatkowy komplet pęcherzy. Dokucza pragnienie z braku wody na odkrytych polach. Słońce wyciska ze skóry trzynasty pot. Dobrze jest więc w takiej sytuacji usiąść i udawać zachwyty krajobrazem. Albo mapę konfrontować z terenem. Lub też pogadać z przechodniem.

Rozmówca ma lat około czterdziestu. Pod czarnym góralskim kapeluszem chowa podłużną twarz i siwe wpadłe głęboko pod krze czarnych brwi oczy. Cągowa wypłowiała marynarka na przymorusanych białych spodniach „swojej roboty”. W ręku dwa koszyki od jagód umorusane wewnątrz borówkowym sokiem na granatowo.

Obraz prosi się o rylec Skoczylasa.

Gdy na niego patrzę, przychodzą mi jakieś dziwaczne myśli do głowy. Ponoś mi fantazja. Tak przemija chwila świata — jest to unowocześnione

do willi sprzedawał po szklance, po litrze. Tym sposobem zdolają uzbierać w ciągu dwu dni pewną sumę pieniędzy, którymi podpierają chwiejny budżet własnego gospodarstwa.

Cała ta operacja jest podstawą do przeczekań okresu głodówkowego na przednówku.

Po dłuższej rozmowie o ludziach, o polityce i o tym całym szeregu bzdurnych spraw, które tak interesują każdego włóczykijskiego cepra, mój rozmówca się zbiera:

— Muszę już iść wstąpię jeszcze do proboszcza, może mi pożyczę choć z ćwiartkę żyta na makę. — kończy i chce odejść, więc pytam go o Orkana pisarza.

Nie umie jednak odpowiedzieć. Nie słyszał. A po pewnej chwili sądzi, że to chodzi o pisarza gminnego.

Zatem nie indagowałem go dalej.

Z nachylonego ku dolinie stoku schodzę do wsi. Między drzewami zniecają się czerwone dachy budynków. Płaczą się te domy jakąś asymetryczną linią nad krętą drogą — bez planu, bez porządku. Z obejść wyganiają czerwone stadka krów.



Dom Władysława Orkana

wydanie ludzi z legend, ludzi z baśni. Na taką dolę zeszło potomkom harnych Janosików — dolę sprzedawców jagód.

Rozmowa z początku powolna, ostrożna wstępuje następnie w stadium szczerości. Dowiaduję się, że mój przygodny znajomy jest z Lubomierza, ma 4 i pół morgi ziemi, że jest tylko jednym z całej grupy biedaków — harujących cały boży rok, a na przednówku głodujących.

W tym niedostatku i biedzie ratuje ich — las. Pobliski las. Jest on dla nich prawdziwym dobrodziejstwem. Zbierają tam maliny, borówki, grzyby. Podczas sezonu wychodzą jednego dnia całą rodziną, by drugiego ktoś z tej rodziny na zmianę poniosł skoro świt cały płon do Rabki i tam chodząc od willi

Poręba Wielka.

Z boku, z niewielkiego zagajnika świerkowego wyszło na drogę troje dzieci. Starsza dziewczynka i dwu młodszych chłopców. Umazane są jagodami od czola do łokci. Konopiaste czupryny chłopców zwisające nad kołnierzem zębata linia, nieczesane włosy dziewczynki i te cągowe wyburzale laszki, przez dziury których widać opaloną skórę na kolor kawy oraz wzdęte brzuszki upodabniają małe do jakichś leśnych gnomów. Mają pełne dzbanki jagód.

Rozmawiam, dziewczyna odpowiada rezolutnie. W pewnym momencie rzucam pytanie o Orkana. Miga dziewczynie w oczach nieuchwytny prawie błysk namysłu:

— Orkan, wiem, on mieszkał na Podgroniu...

Dwunastoletni kandydat na obywatela rodzaju żeńskiego, pociąga z namysłu nosem, ale znać, że coś wie, tylko męczy się nad ujęciem, nad wysłowieniem, mozolnie konstruuje, wreszcie słyszę:

Katarzyna Smreczyńska
matka Władysława Orkana

— On pracował w durkarni... To był taki człowiek, co wszystko umiał — zaokrąglą swoje zeznania moja interlokutorka umazana borówkami.

Noceleg w Porębie znajduję drogą czystego przypadku u ciotecznej siostry Orkana. Mówią tu: na niego Franuś, na jego matkę Ciocia. Rozmawiam z miłą staruszką późno w noc. Dowiaduję się ciekawych szczegółów, szczegółów. Opowiada szczerze, prosto, jakby mnie znała od lat. I oto z tych opowiadań legendarna „Matka” Sewera-Maciejewskiego nie tylko nie blednie, ale dostaje rumieńców i krwi autentycznej. Wynika z tych rozmów wielka miłość synowska chłopskiej matki, wielka wytrwałość i wielkie poświęcenie:

...jak się to Franuś świetnie uczył. Jak to ciocia tydzień w tydzień z Podgronia do Krakowa pieszo dźwigała pęk na plecach z jedzeniem. Jak to raz w zimie nikt jej po drodze nie chciał nocoować, tylko samowolnie ukradkiem z drugim podróżnym schowali się przed śniegiem i zimnem do stodoły — ona zmarznięta do szpiku kości wyszła o świcie i to ją uratowało. Podróżny zmarł w stodole na śmierć...

Rodzina Stróżaków
krewnych Władysława Orkana

